

OĞNİSKO DOMOWE

Gazeta dla kobiet.

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 3

CHOJNICE, dnia 2-go maja 1926 r.

Nr. 18.

Dym.

Urywek z noweli Marji Konopnickiej.

Ile razy spozrzała w okno swej izdebki, tyle razy widzieć go mogła, jak z ogromnego komina fabryki wleli silnym słupem. Nieraz nawet umyślnie odrywała od roboty stare swoje oczy, aby rzucić na niego choć jedne spojrzenie. W spojrzeniu temu była dziwna bogość i jakby pieszczota. Ludzie szli i przechodzili, śpiesząc w różne strony, rzadko który spozrzał w górę w kierunku komina, jeszcze rzadziej zauważył słup smutnego dymu. Ale dla niej dym ten miał szczególne znaczenie, mówił do niej, rozumiała go, był w jej oczach niemal żywą istotą.

Kiedy o wczesnym brzasku na opalowym, mieniącym się barwą i jutrzni tle nieba, dym rozkładał się nad kominem w krągłych, czarnych rękach, roznosząc ostrą, gryzącą woń sadzy, wiedziała ona, że tam jej Marcyś w kotłowni przy palenisku stoi, ognie zanleca, miarkuje rozkład, wysoki, smukły, gibki, wgranatowej płóciennej bluzie, spletej skórzanym pasem, w lekkiej furatce na jasnych włosach, z szeroko odwiniętym u szyi kołnierzem.

— Oho! — szeptała wtedy uśmiechając się — Marcyś „fasuje”..

Istotnie „fasował”. Z gorliwością nowiejusza sypał na palenisko węgiel, kosz za koszem, za sieble i za palaczem pracując, dumny ze swojej świeżej godności kotłowego. A razem z tym wielkim, jasnym płomieniem wybuchwały mu w duszy pieśni, któremi się kotłownia rozlegała od świtu do nocy.

W krótko jednak czarne kłębska dymu białeły, rzadły, stawały się lżejsze aż wkrótce pogodnych błękitów wybiły w górę lekkim, równym słupem.

Ten widok wlewał w serce wdowy radość i pogodę.

— Wszystko dobrze... — szeptała — wszystko dobrze. Bogu Najwyższemu dzięki!

I krzątała się w ubogiej izdebce, zaścielała łóżko swoje i synowski tapozan, zaiatając śmieci starą brzożową miotłą, i rozpalając na kominu drewnka do południowego posiłku.

Ku południowemu dym fabryczny rzedniał nieco: olbrzymie płuca machin zwalniały swą pracę, wypuszczono ne pary przeszywały raz i drugi powiatrze ostrym, przykrym światłem, a chłopak jak uragan do izdebki wpał.

— Mamo jeść! — wołał już od pragu, a cianawszy furatkę na stół, biegł do klatki z koszem, wieszając w oknie. Chłopak stawał przed klatką, kładł ręce w kieszenie i gwizdał. Aż się ściany trzęsły od gwizdania tego.

A matka rozpościerała tymczasem na stole piękną żółtą serwetę w niebieskie jelenia wyrabiając i stawiała głęboką fajansową wasekę grzupnika, barszczu z rurą, albo grochówki z wędzonką, albo też zacierek, jak tam

wypało. Obok wazji występował na stół chleb w dużym bochnie, główna tego posilku podstawa.

Zniżał on też prawie w połowie, ledwo się chłopak przysunął do niego. Kawał za kawałem krajał, w miśseczce z solą maczał, a przez dogadywał:

— Dobry chleb, mamo!

— Dobry, synku — odpowiedziała za każdym razem wdowa — Jedz z Bogiem, jedz! [Na chwałę Panu Jezusowi i Matce Jego Przenajświętszej...

Chłopak nie dał się prosić, a razem z chlebem zniżył i zawartość misy.

— Dobry barszcz, mamo — mówił wtedy.

Matka już od kilka chwil jadła owarz wołniej. Mieszała łyżką w talerzu, dmuchała w niego. Ale barszczu nie ubywało jakoś. Kiedy więc chłopak wymiół, co miał przed sobą i wąski rumiejąco wierzchem ręki otarł, pytała skwapliwie:

A możebyś, synku, jeszcze... Mnie dziś coś nie bardzo jakoś...

Chciała mu dać poznać, że jej nie smakuje, ale bała się wyraźnym kłamstwem Boga obrażać, bo barszcz był doskonały.

— A no — mówił chłopak — kiedy mama nie je..

Podstawiła mu z pośpiechem swój talerz mówiąc:

— Jedz, dziecko, jedz! Na chwałę Panu Jezusowi.

Chłopak tedy znów się zabierał do łyżki po swoje jemu.

— Co mama chce od tego barszczu? — pytał. — To królewski barszcz.

— Byłby on, byłby, synku — odpowiedziała, mrugając oczami — tylko że mi do niego bobkowego liścia przybrakło..

Wszystko to odbywało się z niezmierną szybkością. Młody kotłowy chwilowo zastępowany tylko był w południe i śpieszyć musiał. Zaledwie zjadł zęgnął się szerokim znakiem krzyża, całował rękę w zapracowaną wychudłą rękę, chwytal furatkę, a gwizdnawszy na pożegnanie kosowi, zbiegał w trzech susach z facyatką na dół.

Późnym wieczorem dopiero wracał syn, i od pragu już znowu wołał:

— Mamo, jeść!..

A zarazem z tą młodą, silną postacią wstępowała w próg izdebki wesele, śmiech i swoboda. Zmniejszy już teraz pośpiechem posillał się chłopak, opowiadał przez chwilę to i owo rozrywką się go c ubiegły dzień matce, potem zaczynał szeroko ziewać, przeciągać się, kos na wet nie bawił go już w takiej chwili.

— Idź spać, synku, idź spać! — mówiła matka, głosząc go po głowie. — A to jutro do dnia ci znów trzeba...

— Pójdę, mamo... — odpowiadał sennym głosem — zmordowałem się tak, że to ha!

— A pacierz, synku, znów — przypominał jeszcze.

— Zmówię, mamc.

Całował jej rękę, klękał przed swoim tapczanem i schyliwszy głowę na złożone dłonie, odmawiał szybko półgłosem Ojcie nasz i Zdrowaś, tu i ówdzie przerywając modlitwę potężnym ziewnięciem, poczem był się bałaśliwie w pierś, żegnał z rozmachem i zdjawszy po śpiesznie odzież, rzucał się na twarde posłanie.

Natychmiast też prawie uśpiał.

Ze snu tego budziła się po drugich kurach zaraz, na długo przed pierwszą gwiazdką fabryczną, i zwlokłszy się z pościeli, dreptała po izdebce, szukając polewkę dla syna i szepcząc godzinki. W okienku stała wtedy wielka i cicha gwiazda zaranna, wprost na twarz uśpionego chłopca świecąca. Matka co raz to na twarz tę powiodła oczyma. Radaby już zbudziła jedynaka swego, a e głębokie uśpienie chłopca wstrzymywało ją.

— Niech ta! — szeptała półgłosem. — Niech ta jeszcze ździebluchno pośpi...

Dopiero kiedy się rozległ przeraźliwy świst pu szczonej pary, wolała na chłopca:

— Marcyś! A!... Marcyś! Wstawaj, synku! gwizda...

Chłopak odwrócił głowę do ściany.

— To kos, mamc... — mówił w półprzytomnie.

— Ale! — kos tam! We fabryce gwizdają, synku nie kos!

Przeociągał się, nakrywał na głowę, mruzczał, ale matka nie ustępowała. Necoń dytur się skończył, kółkowy na swoim miejscu oierwszy stanąć musiał przed robotnikami jeszcze. Powtarzało się tocząc tydzień boty, niedzieli nie przyjmując nawet.

Ale jednego razu, kawał jeszcze do ranka było, chłopak się z krzykiem ze snu porwał sam i na pościeli siadł.

Matka już była przy nim.

— Co to? Co ci, synku, co? — pytała troskliwie Nie odpowiadał. Patrzy na nią szeroko otwartemi oczyma, usta miał dżące, uszcio w zimnym podie. Rozpęta koszula podniosła się od mocnych, głónych prawie uderzeń serca.

Objęła go ramionami matka.

— Co ci to, synku co ci to? — pytała, tuląc chłopska, jakby małe dziecko.

Długo uspokoił się nie mógł.

— Nic, mamc — przemówił nareszcie z widocznym wysiłkiem — nic... Tylko — śniło mi się... że.. piorun uderzył we mnie.

Wdowa ścierpła. Ale nie dała tego poznać po sobie synowi. Chciała przemówić, głos uwiąził jej w pierś.

Chłopak siedział na tapczanie sztywny, prosty, patrząc przed siebie wystraszonym wzrokiem.

— Piorun, — mamc mówił cichym, urwanym głosem — taki czerwony, straszny, jak smok. Na pierś mi padł, mamc... taki straszny... czerwony... Umilkł i dyszal głośno.

Wdowa opanowała się jakoś.

— Co tam, synku! — mówiła głaszcząc go po rozpalonym policzku, — Co tam!... Sen miera, Bóg wiare. Co tam, synku!

A gdy chłopcu głośno zaszczykały zęby, przysiadła przy nim, przycisnęła głowę jego do swych wyschłych pierś i tak go kołysała, jak kiedy niemowlęciem był.

Chłopak się ukoił, utulił wreszcie i na poduszce opadł.

— Niech mama już idzie — rzekł — niech mama idzie, połóży się.. Ja usnę..

Ale nie usnął. Leżał na wznak, z otwartemi szeroko oczyma, wpatrzony w gannące na wachód nieba gwiazdy.

* Spojrzała na niego raz i drugi.

— A czemu nie śpisz, synku? — spytała.

— Nie mogę, mamc... — odpowiedział cicho, skąrazącym się głosem.

Podeszła i siadła przy nim.

— Nie się nie trap, synku! — przemówiła. — Nic się nie trap! Albo to na to ten Pan Bóg miłosierny piorun w niebie chowa, żeby zaś wdowie niebogłej jedynego synaczka ubijać? Nie da tego Pan Jezus i ta Matka Przenajświętsza... A ja ci to powiem, że piorun wesele znamionuje, kiedy się kawalerowi, albo pannie śni. O co, widzisz, piorun znamionuje... Przecie sennik mam, to wiem.

Mówiła to z uśmiechem, wesoło niemal, ręką wyschłą po drob jej wodzą i włosy mu gładząc, aż chłopak czołej myśli począł być i tet się uśmiechnął.

To mama mówi, że wesele? — spytał.

— A przecie, że nie co! Wesele, huone wesele...

Zamyślił się chłopiec, a po chwili rzekł:

— To ja już wstanę, mamc...

— Wstań, synku, wstań... Zgotuję śniadanie, jak przejeż, to cię to odejdziesz.

Jakoż odeszło. Weselej nawet było tego ranka, niż zwykle w izdebce, bo chłopak czasu dość mając, jedną po drugiej piosenkę na prześwici z kosem gwizdał. Gdy chłopak wybiegł, podeszła do okienka, aby wyjrzeć za synem.

W chwili później gęsty, czarny dym wałił z fabrycznego kominu.

Godziny upływały. W sobludzie sprzątniętej izdepce zri biło się cicho: stary zegar z jaskrawą różą na półoklej tarczy cykał opieszale na ścianie, kos próbował najweselszych kurantów, pocieszałe waloząc z swym ochryplym głosem, a wdowa może z myślą o owym śnie syna, co to wesele znamionował, przegładła swe odświętne odziewe.

Naraz rozległ się huk straszliwy. Zetrzęły się ściany, posypał gruz z kominu. Okienko z szczykiem wypadło. Wielki, lakrząsty stóp dymu buchnął w niebo razem z fontanną cegieł i wielkimi odłamkami rozwalonego kominu, wypełniając izbę przetrzętym blaskiem. Wdowa, jak stała, tk skamieniała słupem. Ani jednego krzyku nie wydały jej zmartwiałe usta. Tylko się siwe włosy podniosły nad czołem, tylko rozszzerzone zrenice zbieiwały, jakby u trupa, nagle jakąś zgrozą..

Może nawet nie słyszała dzikiego wrzasku, jaki bił z ulicy:

— Kółkowy!... kółkowy zabity!

Długo jeszcze potem lata siadywała wtem samem okienku, patrząc osowiały, mętym wzrokiem na fabryczny komin, z którego były w górę sine słupy dymu.

Dym ten wszakże nie przybierał już teraz dawnych rozlicznych kształtów, tylko zawsze zmienił się w mglistą postać jej drogiego chłopca. Zrywała się wtedy ze stolka i wyciągała drżące, wyschłe ręce. Ale mglistą postać wiatr unosił i rozwiewał ją gdzieś w błękitach.

Hypnoza i małżeństwo.

Prasa światowa coraz częściej notuje wypadki usłownych nieważnień małżeństwa na podstawie prawnego, czy rzekomego zahypnotyzowania małżonka. Mąż, albo jego rodzina, domaga się unieważnienia małżeństwa, twierdząc, że w chwili ślubu małżonek nie odpowiadał za swoje czyny, albowiem pozostawał pod hypnotycznym wpływem.

W Nowym Jorku zdarzył się następujący fakt: 30-letni milioner Ralph Brown, człowiek zrany z tego że lubi ukuwać wszelkich rozkoszy życia, że pija najlepsze zakazane konjaki i wina i kaprysi nawet w towarzystwie najpiękniejszej kobiety, zniknął nagle z powierzchni towarzyskiego życia, a gdy się pojawił znowu, to ujrano go przy boku 60 letniej, odychającej brzydkiej kobiety, jako jej legalnego małżonka.

Dama ta prętem występowała w cyrku, gdzie popisowała się czarodziejскими sztuczkami. Wkrótce Brown zgłosił do sądu starą przeciwko swej małżonce, domagając się unieważnienia małżeństwa. Twierdził on, że przy zdrowych zmysłach, w stanie pełnej i jasnej świadomości, nigdyby nie mógł popełnić takiej niedorzeczności, ślub z tą kobietą mógł wziąć tylko w tym wypadku, jeżeli go zahypnotyzowano lub w jakikolwiek inny sposób oszołomiono. Sąd zwrócił się w tej sprawie do rzeczoznawców. Zdania były podzielone. Jedni popierali stanowisko Równa, i wyrażali opinię, że z kobietą tak starą, brzydką, biedną, i o jak najgorszej sławie, taki człowiek, jak Brown, mógł się tylko ożenić pod wpływem hipnozy. Inni rzeczoznawcy krętili jednak głowami i mówili: „Z tem mógłby przyjąć każdy; najczęściej w pewien czas po ślubie każdy mąż chwyta się za głowę i powiada: com ja zrobił, nie byłam chyba normalny wtedy, kiedy brałem ślub”. A jednak w danej chwili był zupełnie normalny, bo natura to tak urządza, że zawsze przed ślubem jedno z małżonków rzuci czar na drugiego, a że czar ten nie trwa długo, to właśnie stanowi tragedję tak wielu małżeństw. Sędziowie namyślali się długo, w końcu jednak, ze względu na niezwykłą naprawę w tym wypadku sytuacji, zdecydowali się na rozwiązanie tego związku małżeńskiego.

Insaczej zakończył się w Paryżu proces, wytoczony przez krewnych kupca Simona, a mający na celu unieważnienie zawartego przez Simona małżeństwa. I oni twierdzili, że Simon uległ hipnotyzmowi wpływowi swojej obecnej żony. Na dowód przytaczano fakt, że młody małżonek już w pół godziny po ślubie zapomniał o tem, co zaszło, i zamiast udać się na ślubną uztę, poszedł najspójniej do kina. Sędzia nie widział jednak w tym wypadku nic nadzwyczajnego, nie brak przecież ludzi zupełnie normalnych a roztańconych, którzy zapominają o najważniejszych rzeczach.

Do hipnozy, to znaczy wpływu na cudzą wolę, możnaby obecnie sprowadzić wszystko. Przecież klient w sklepie który kupuje zielony krawat, a chciał sobie właściwie kupić szafirowe skarpetki, ulega również hipnozcie sprzedającego, a tembardziej w kwestjach miłości i małżeństwa, to wpływanie na cudze po stanowienie i na cudzą wolę, jest zupełnie w porządku rzeczy, to też z takiego powodu niepodobna rozwiązywać małżeństwa i krewni pana Simona będą musieli się pogodzić z tem, że pozostanie on żonaty.

Kłopoty z modną córką.

Baron Juliusz Madarassy Beck, były prezydent Banku hipotecznego kredytowego w Budapeszcie ma córkę Zuzannę. Pani Zuzanna jest piękna, ekscentryczna, pełna temperamentu i uzdolnioną pisarką. Ojciec wydał ją w 18 roku życia za mąż, ale małżeństwo zo stało przez samego papieża rozwiązane i pani Zuzanna, obecnie 22 letnia kobieta postanowiła być w pełnem znaczeniu chłopcyzą. Najlubiejszem jej zajęciem jest pisanie nowel, romansów, wierszyków i gra w karty. Ale ten drugi sport był dla ojca zanadto kaszowny. W Ostendzie przegrała p. Zuzanna całe

swoje srebro stołowe, ponadto zaciągnęła w wszystkich miastach i letniach europejskich długi.

Jakiś czas ojciec te długi płacił ale obecnie już ma tego za dużo i poczynił w sądzie kroki by p. Zuzannę wziąć pod kuratelę.

Cały Budapeszt ma sensację, a pani Zuzanna twierdzi, że ojciec ma rację, ale i ona także, gdyż byłoby nonsensem zaprzestać gry w karty, zwłaszcza gdy się tak wiele przegrał.

Miłosierdzie i sława.

Wielki, kto się rozumem, ponad tłumy wznosi,
Wielki, kto świat zdobywa orężem zwycięskim,
Wielki, kto szczytnem słowem świata prawdę

głosi,
Wielki, kto walcząc koną z hartem duszy

Łasa czy nie większy w Bogu, kto pod

Do serca tuli biedne sieroty tej ziemi?

Przemienna postać matki, gdy dziecięć pleść,
Święta są jej zasługi za cierpienia, znój,
Za nocie niedospane, i za łzy boleści,
I za twógi śmiertelne, i za niepokoje
Ale świętsza zasługa, gdy dla obcych dajesz
Obca w swem sercu miłość macierzyńska

wzniesł.

Kto rozumem panuje, prawd wielkich docieka,
Temu zdobyłce prawdy nagrodą za trudy;
On wie, że go w przyszłości pomnik sławy

czeka,
Ze pamięć jego przejdzie na potomne ludy.
Dla czynów bez rozgłosu, z miłością spełnionych,
Pomnikiem wdzięczność w sercach do życia

zbudzonych.
Kto walczy i zdobywa, dąrzy berło świata,
Temu potęga, wielkość, sława się cmięcha,
Zawszad go szmer uwielbień i pochlebiań dołata
Jak tryumfalnych hymnów powtarzane echo,
Dla czynów bez rozgłosu z miłością spełnionych,
Tryumfem miłość w sercach do uczucia

zbudzonych.
A prawdy głosiciele i wieszczcie natchnieni
Potęgą swego słowa nad sercami władną;
Król w dziedzinie ducha, duchem zjednoczeni,
Przed nimi z uwielbieniem tłumy na twarz padną.
Dla czynów bez rozgłosu, z miłością spełnionych,
Uwielbieniem modlitwa serc oczcią przepelnionych.

Ile może ważyć strój prawdziwej elegantki.

Jak donosi jedno z pism paryskich, elegantki z Filadelfji dowiedziały się z wielkiem zdziwieniem, że całkowity strój szycownej Angielki waży, według miarodajnej oceny eksportów, aż... 84 funty.

Zdumienie wywołane wśród pięknych Amerykanek wiadomością o ciężarze, jakie skazane są dźwigać na sobie ich kuzynki angielskie jest zrozumiałe, gdyż

Wszystko co panie z Filadelfiji na sobie noszą wazy tylko 45 deka. Jeden gram więcej i już należą zrezygnować z pretensji uważania się za modną.

Nie jest to jednak jeszcze rekord, który — naturalnie — pobili Paryżanki.

Waga pełnego rynsztunku (z jedwabiu) elegantskiej paryskiej wynosi 34 deka (łącznie z obuwaniem).

Odtąd więc w tem dziwnego, że — by być modną — „pani jest dziś bez koszulki”.

Włosy farbowane na niebiesko.

Z Londynu coraz częściej dochożą sacha dziwacznych wybryków w dziedzinie pani Mody.

W Moysair damy zaczęły farbować sobie włosy na kolor niebieski.

Zakłady fryzjerskie coraz częściej spotykają się z sądaniami, zwłaszcza ze strony kobiet siwowych, aby nadać splotom ich włosów lub obolętym grzywkom od cieni futerka niebieskich włosów.

Słynna z piękności swej baronowa de Stoesckel, jedna z dam wyższego towarzystwa, nosi obecnie jasne krawo niebieskie włosy i budzi sensację wszędzie gdzie się tylko zjawia.

Moda ta martwi jednak przedewszystkiem brunetki, fryzjerzy bowiem nie wynaleźli dotychczas sposobu barwienia kruczonych włosów na kolor niebieski. Conajwyżej nadać im można kolor granatowy.

Brak kobiet w Brazylii.

Władze municypalne w Merces, w państwie Minas, podają do wiadomości, iż brak kobiet jest tam wprost niepokojący. Położenie pod tym względem jest o wiele gorzsze, niż w r. 1920.

Obecnie w Minas jest 13.625 mężczyzn nieżonatych, oraz 658 wdowców, którzy mają niezbyt wielki wybór, gdyż młodych dziewcząt i wdów jest zaledwie 5.810.

Ponieważ wobec tego braku kobiet zawierano nie raz małżeństwa wprost na wysięgi, zorganizowano teraz biuro, które wylosowuje małżeństwa. W oznaczonych trzech dniach w tygodniu rozlosowane zostają dwie wdowy i pięć dziewcząt.

Prawdziwie po amerykańsku.

Wszystkie kobiety będą piękne... w ameryce.

Związek właścicieli zakładów fryzjerskich w N. Jorku ogłosił statystykę (sic), stwierdzającą iż w roku 1926 Stany Zjednoczone liczą 3 razy tyle pięknych kobiet co w r. 1915. Mistrzowie naczyn i grzeblenia opierają swe wnioski na olbrzymim rozwoju t. zw. instytutów piękności, których liczba przewyższa obecnie 80.000 w Stanach.

170.000 „artystów” pielęgnowało urodę 60 milionów klientek w r. 1925.

Przyjmując za dobrą monetę, twierdzenie mistrzów fryzjerskich, iż uroda i piękność są wynikiem ich za biegów i sztuki, dojdziemy z łatwością do wniosku, że wkrótce w Stanach Zjednoczonych będą tylko piękne kobiety.

Praktyczna Gospodyni.

Zapobieganie mnożeniu się much.

Sproszkowany boraks posypany, na nawóz koński, zapobiega mnożeniu się much, które jak wiadomo, są roznośicielami chorób zakaźnych. Bierze się 25 dkg. boraksu na mniej więcej ósm buszli nawozu.

Naczynia emaliowane

myć w gorącej wodzie z dodatkiem łyżki sody do prania i opłukać w ciepłej wodzie.

Wesoły kącik.

Rada na twarde su.

— Panie doktorze, mam jakiś taki ciężki sen, śpię, śpię i zbudzić się nie mogę?

— Niech pani idzie do zegarmistrza.

— Pocu?

— Żeby pani dał głośniejszy budzik.

Mądry Jędrus.

— Olesz się Jędrusiu, że się żenię z twoją siostrą?

— O, tak, bo wiem, że ją pan wyleczy.

— Oo-ty pleciesz, przecież ona jest zdrowa!

— E, to pan nie wie, nam mama mówiła, że ona choruje na płaszcz jedwabny..

Wybrał.

— Sędzia: Masz Pan do wyboru: dwa dni kozy, albo sześć złotych.

— Oskarżony: To już niech Pan sędzia będzie łaskaw dać mi sześć złotych.

Ce dostał?

Oo ci dała babośa, jak jej powinnowałaś na imieniny?

— Dała mi łapę do pocałowania..

Siuszne.

— Podobno żonaci żyją dłużej od kawalerów.

— Głupstwo. Czas im się dłuży!

Popłatne zajęcie.

To pana syn chce się specjalizować w chorobach wątroby? Czy to będzie korzystne dla niego?

Naturalnie, przecież każdy człowiek ma wątrobę.

W szkole.

Nauczyciel: Wymień mi jakie zwierzę potyliczne któremu zawdzięcza się mięso i doskonałe buty.

Uczeń: To jest mój ojciec.

Ciężkie czasy.

Aptekarz w małym miasteczku narzeka:

— Ciężkie czasy, powiadam panu, że można zwarłować. Pogrzewał się na mnie nasz doktor i zapisał chorym wyłącznie kwaśne mleko i świeże powietrze.

Poczelwy.

Słyszałem, że wuj ci umarł, przyjmij wyrazy gorącego współczucia!

— Dziękuję.. Ja także nie przypuszczałem, że tak mało zostawi.